

# Ireneusz Caban, Władysław Kuszyk, Stanisław Szymański

---

## Pierwsze dni Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie (lipiec 1944)

---

Rocznik Lubelski 7, 195-210

---

1964

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach  
dozwolonego użytku.

## PIERWSZE DNI WOJEWÓDZKIEJ RADY NARODOWEJ W LUBLINIE

(lipiec 1944)

Fragmety wspomnień, które obecnie zamieszczamy dotyczą bardzo krótkiego okresu czasu. Obejmują jedynie pierwszy tydzień działalności Wojewódzkiej Rady Narodowej w wyzwolonym Lublinie. Ich autorzy — członkowie WRN jeszcze podczas okupacji — przez pryzmat swoich doświadczeń ukazują nam szereg skomplikowanych problemów, z jakimi borykała się młoda władza w momencie swego startu.

Wspomnienia te są cennym przyczynkiem do poznania pierwszych dni Polski Ludowej, wobec skromnej bazy archiwalnej jaką dysponuje obecnie historyk.

Obaj autorzy od szeregu lat związani byli z ruchem robotniczym, najpierw w szeregach Komunistycznej Partii Polski, a później w szeregach Polskiej Partii Robotniczej. Działalność Stanisława Szczepańskiego datuje się już od roku 1917. Był on między innymi współorganizatorem Warszawskiego Pułku Rewolucyjnego w ZSRR w okresie walk z kontrrewolucją.

Autorzy po wyzwoleniu byli znanymi działaczami politycznymi. Władysław Kuszyk pełnił funkcję sekretarza Okręgowej Komisji Związków Zawodowych, a Stanisław Szczepański był wicewojewodą lubelskim.

Wspomnienia opracował i przypisami opatrzył: Ireneusz Caban.

---

### WŁADYSŁAW KUSZYK

Było już dobrze po południu, kiedy wjechaliśmy do miasta<sup>1</sup>. Już u rogatki lubartowskiej ogromny ruch. Na ulicy pełno było odłamków szkła i kawałków muru. Domy bez okien i drzwi świeciły pustką.

U wylotu ulicy Lubartowskiej i Krakowskiego Przedmieścia przed Bramą Krakowską zgiełk jeszcze większy. Prócz ludności cywilnej masa wojska. Wszystko stłoczone i wymieszane. Zatrzymaliśmy nasze wozy. Ze wszystkich stron dobiegały nas głosy: „Partyzanci!” „Niech żyją chłopcy z lasu!” „Cześć partyzantom!”

---

<sup>1</sup> Autor wspomnień wkroczył do Lublina w dniu 25 VII 1944 r. razem z Brygadą AL pod dowództwem ppłk. Grzegorza Korczyńskiego. *Dziennik II Obwodu* podaje natomiast, że fakt ten nastąpił 24 VII 1944 r., wydaje się jednak, że w *Dzienniku* został popełniony błąd. Był on bowiem pisany najprawdopodobniej post factum i stąd data 24 lipca. (Por. *Dziennik II Bojowy Dowództwa Obwodu II pisany w Sztapie Obwodu od 2 VII — 26 VII 1944 r.* W: *Ruch Oporu na Lubelszczyźnie 1939—1944. Gwardia Ludowa i Armia Ludowa na Lubelszczyźnie (1942—1944)*. Lublin 1960, s. 365). Świadczy o tym między innymi fakt, że Państwowy Korpus Bezpieczeństwa, o którym wspomina się w *Dzienniku* pod datą 24 VII ujawnił się dopiero 25 VII 1944 r. Por. W. Wołczew *Przebieg i realizacja planu „Burza” na Lubelszczyźnie*. W: „Rocznik Lubelski” T. V. Lublin 1962, s. 226; Arch. KW MO Lublin; *Jak to było w Lublinie*. „Lubelska Agencja Informacyjna” R. 1, nr 1, 9 VIII 1944, s. 2.

Okrzyki stawały się coraz głośniejsze i częstsze. W krótkim czasie, ze wszystkich stron zostaliśmy otoczeni. Rozpoczęło się gorące i serdeczne bratanie z naszymi partyzantami. Podawano nas z rąk do rąk jak piłki. Młodym i starym sączyły się łzy po policzkach.

Uległem takiemu silnemu wzruszeniu, że nie wytrzymałem — wskoczyłem na samochód, i choć sam byłem bliski płaczu, przemówiłem do ludzi. Co mówiłem, już dobrze dziś nie pamiętam, ale prawie każde słowo przerywano mi okrzykami: „Niech żyje!”, „Cześć chłopcom z lasu!” itd. Niekiedy trwało to kilka minut. Jeszcze nie skończyłem, kiedy cały samochód zapełnił się dawno niewidzianymi smakołykami. Z tłumu rzucono, jak granatami, puszkami konserw i innymi smakołykami, a sarta ich rosła w oka mgnieniu. Nasi słuchacze widocznie rozumieli, że skoro jesteśmy z lasu, to przede wszystkim głodni i trzeba nas nakarmić. Nie byliśmy głodni, niemniej jednak dostatecznie obdarci i zmizerowani, by zdanie takie samo się ludziom nasuwało.

Miało się już pod wieczór, kiedy skończyliśmy nasz pierwszy niezamierzony wiec ludności w Lublinie.

Nasz dowódca, Grzegorz Korczyński, zdążył już chyba w tym czasie nawiązać kontakt z dowództwem wojsk radzieckich, aby mógł wydać rozkaz odmarszu i podać miejsca noclegu.

Dopiero wtedy mogłem rozejrzeć się wokół. Za Bramą Krakowską ogromne zniszczenia. Stare Miasto w ruinach. Ulicą bez przerwy ciągnęły oddziały Armii Czerwonej z taborem. Na chodnikach grupy ludzi, ubranych w zielone mundury, z opaskami biało-czerwonymi. Podszedłem do najbliższej grupy, spróbowałem nawiązać rozmowę.

— Partyzanci?

— To dajcie pyska towarzysze!

— Tylko nie towarzyszu, a panie — odpowiedział mi jakiś głos.

Przez moment stałem zdezorientowany, ale trzy litery „PKB”, jakie spostrzegłem na biało-czerwonej opasce prawego ramienia, szybko wyjaśniły mi sytuację. Tak, to był Państwowy Korpus Bezpieczeństwa, wrogo nastawiony do Armii Ludowej<sup>2</sup>. Uczestniczyli oni w wiecu i, jak się domyśliłem, obserwowali nasze skromne siły aelowskie, poważnie przetrzebione w ostatnich walkach.

Nie przejmując się incydentem poszedłem dalej. Po drodze mijalem jeszcze wiele takich grup, ale już nie nawiązywałem rozmowy.

Krążąc po ulicach i zaułkach chyba dobrą godzinę, co chwila wracałem w myślach do tego wydarzenia. Zacząłem kojarzyć sobie wtedy szereg jeszcze nie tak dawnych faktów...

W Lubartowie obaj dowódcy 27 Dywizji AK nie wykonali żadnego z przyjętych na konferencji zobowiązań<sup>3</sup>. Tu spotkał nas chłód i wrogość, choć ludność odkry-

<sup>2</sup> Państwowy Korpus Bezpieczeństwa ujawnił się w Lublinie wraz z Delegaturą Rządu w dniu 25 VII 1944 i podlegał jej bezpośrednio. W dniu 28 VII po odmowie włączenia się do I Armii WP, PKB rozbroił się i rozwiązał. Por. Arch. KW MO Lublin, *Jak to było...* „Lubelska Agencja Informacyjna”. R. 1, nr 1, 1944 r., s. 2.

<sup>3</sup> 27 Dywizja AK została zorganizowana na terenach zabużańskich, na Wołyniu na przełomie lat 1943—1944. Jednostka ta przybyła w czerwcu 1944 r. na tereny północnej Lubelszczyzny. W dniu 24 VII prowadzone były w Lubartowie rozmowy między dowództwem 27 Dywizji a władzami radzieckimi i polskimi na temat przetrzucenia całej dywizji na tyły wroga lub włączenia się do walki na froncie. Dowództwo 27 Dywizji przyjęło zobowiązanie walczyć na froncie jako wydzielona jednostka, operacyjnie podległa dowództwu radzieckiemu. Zobowiązanie to nie zostało wykonane, a cała 27 Dywizja złożyła broń.

wała nam swoje serca i dzieliła się wszystkim, co posiadała. Kiedy zebrałem te i inne szczegóły z lat okupacji wszystko stało się jasne. Nie czas było jednak na rozważania.

Przyszedłszy na umówione miejsce postoju naszych oddziałów w budynku przy ul. Krakowskie Przedmieście 62, zobaczyłem naszych chłopców śpiących na podłodze, stołach i krzesłach. Grzegorz Korczyński zaś za biurkiem w niewielkim pokoiku przygotowywał tekst zarządzenia. Zaraz też wyszliśmy w poszukiwaniu drukarni. Przechodnie wskazali nam najbliższą, Pietrzykowskiego. Była zamknięta i należało odszukać zarówno właściciela, jak i zecera, który złożyłby „Obwieszczenie”. Zecer chętnie wziął się do roboty i obwieszczenie późnym wieczorem zostało wydrukowane. Treść jego była natury porządkowej, wzywająca mieszkańców do zachowania porządku i spokoju, powrotu do swoich codziennych zajęć, aż do dalszej decyzji władz centralnych, podpisana została: Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej i Dowództwo II Obwodu Armii Ludowej. Plakat odbity na czerwonym papierze o formacie 40 × 60 cm, rozklejony został wczesnym rankiem na terenie całego miasta<sup>4</sup>. Był to pierwszy dokument obwieszczający ludności, że organy władzy ludowej wyszły z konspiracji i przystąpiły do organizowania nowego życia na zasadach demokratycznych.

W tym to czasie przewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej, Kazimierz Sidor, od marca tegoż roku razem z delegacją Krajowej Rady Narodowej przebywał w ZSRR<sup>5</sup> i prawdopodobnie był w drodze do Lublina. Zygmunt Goławski („Niwa”), który po nim objął przewodnictwo — zginął przed paroma dniami, u progu wolności<sup>6</sup>. Stąd też nam, przybyłym wcześniej, przypadło sprawować te obowiązki. Zdawałem sobie sprawę, że długo to nie potrwa, że lada dzień powróci Kazimierz Sidor, a jeżeli nawet powrót jego się przeciągnie, to przecież wrócą inni członkowie rady z uwolnionych terenów Lubelszczyzny i dokonają wyboru nowego przewodniczącego. Zarówno w pierwszym, jak i drugim przypadku, zdawałem sobie sprawę, że taka sytuacja może potrwać kilka dni<sup>7</sup>.

Rozwój wypadków nie pozwalał czekać. Nie wiedzieliśmy od czego zacząć, nie mieliśmy jeszcze żadnego rozeznania, co dzieje się w mieście. Nie mieliśmy również

<sup>4</sup> Oryginału tego dokumentu dotychczas nie odnaleziono. Plakat ten posiadał datę 26 VII 1944. Wydaje się jednak, że częściowo został on już rozplakatowany 25 VII późnym wieczorem, wspomina o tym między innymi ówczesny przedstawiciel delegatury Józef Zych-Dolina: „Pod wieczór (tj. 25 VII 1944 — przyp. I. C.) pojawiły się na murach miasta olbrzymie odezwy z małym orłem bez korony” (Józef Zych-Dolina *Pamiętny lipiec w Lublinie*. „Kultura” nr 7/8, 1950 r., s. 171). Przy okazji należy wyjaśnić sprawę odezwy WRN datowanej również z dnia 26 VII 1944 r., w której jako miejsce wydania podano Lublin. Format — większej ułotki. Oryginał tego dokumentu znajduje się w Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Lublinie (WAPL). Wydaje się jednak, że odezwa ta nie była drukowana w Lublinie — potwierdza to między innymi Władysław Kuszyk — ale najprawdopodobniej w Chełmie i została przywieziona do Lublina dopiero 29 VII 1944, kiedy przybyli pierwsi przedstawiciele PKWN.

<sup>5</sup> Kazimierz Sidor wraz z innymi przedstawicielami KRN dotarł do Moskwy dopiero w maju 1944 roku.

<sup>6</sup> Goławski Zygmunt, ps. Niwa, Leon był współorganizatorem konspiracyjnej WRN jako przedstawiciel Stronnictwa Ludowego i Batalionów Chłopskich. Zginął 20 lipca 1944 roku we wsi Bujki, pow. Lubartów.

<sup>7</sup> Na ostatnim posiedzeniu konspiracyjnej lubelskiej WRN postawiono przed wszystkimi członkami zadanie jak najszybszego dotarcia do Lublina w chwili

żadnego aparatu urzędniczego, z Ostrowa Lubelskiego ocalała i przybyła razem z naszą grupą Bronisława Czarnotówna, sekretarz konspiracyjnej Wojewódzkiej Rady Narodowej. Była również nasza koleżanka Stefania Lecówna. Trzeba przyznać, że obie okazały się bardzo przezerne i zabrały ze sobą maszynę do pisania, której używałem z żoną jeszcze w redakcji „Głosu Ludu”<sup>8</sup>. Jeszcze raz maszyna ta bardzo się przydała.

Najważniejszą jednak sprawą było poznanie sytuacji w mieście, jego najpilniejszych potrzeb i panujących w nim stosunków. Nazajutrz (26 VII) wczesnym rankiem udałem się na ulice. Te same sceny jak przy wjeździe do Lublina. Na ulicach dużo ludzi. Niektórzy wykorzystując chaos pierwszych chwil, skwapliwie pomnażali swój majątek. Wiele sklepów i magazynów stało otworem...

Trzeba z tym skończyć, pomyślałem. Ale jak? Do tego celu potrzebny jest przecież aparat władzy wykonawczej, milicja, straż porządkowa itp., a nie ma. Najlepiej byłoby odwołać się do robotników i z nich stworzyć ochotnicze oddziały straży. Partyzantów nie starczy, mają zresztą inne zadania.

Wracając z tej lustracji około godz. 9 widziałem już rozklejone na murach nasze plakaty. Ludzie czytali i dyskutowali między sobą.

Przed naszą siedzibą u wejścia spotkałem Edwarda Nadulskiego. Cekał na mnie. — Jesteś cały? — zagadnąłem. Okazało się, że z Ostrowa bez większych trudności przedostał się z powrotem do Lublina, ale już bez bandaża na głowie.

Nadulski był artystą malarzem. To też poprosiłem go, aby po tylu latach przerwy wypróbował swoje umiejętności i namalował na płótnie napis: „Wojewódzka Rada Narodowa w Lublinie”. Po upływie godziny wzdłuż balkonu pierwszego piętra wisiał duży transparent informujący o siedzibie wojewódzkiej władzy<sup>9</sup>.

Rozpoczęliśmy urzędowanie. Zaczęliśmy od organizacji najpilniejszych, najbardziej potrzebnych wydziałów. Zastanawialiśmy się przede wszystkim nad ich obsadą. Stosunki w Lublinie znałem dobrze przed wojną, miałem tu wielu przyjaciół i znajomych, wiedziałem, że w czasie okupacji byli na miejscu. Należało ich więc odszukać i wciągnąć do pracy. Niektórzy z nich byli w ruchu, w konspiracji. Podczas gdy rozprawialiśmy tak o nawiązaniu kontaktów i unormowaniu spraw organizacyjnych, zjawił się pierwszy interesant. Mieszkał gdzieś przy ul. Wieniawskiej.

— W moich garażach — mówił — jest kilka samochodów po Niemcach, co chwila przychodzą jacyś ludzie chcąc je zabrać, a ja nie wiem, co mam z tym zrobić, komu to oddać.

Od rana myślałem o tym, jak dostać się do fabryk i jak nawiązać kontakt z robotnikami. Bez samochodu to ogromna strata czasu. W dobry moment ta wiadomość — pomyślałem. Zostawiłem Nadulskiego w biurze i poszedłem z interesantem.

Nie minęło pół godziny, gdy znalazłem się przed budynkiem, na którym szyld oznajmiał: „Lubelski Związek Elektryków”. Zastukałem energicznie do bramy raz

---

oswobodzenia miasta. Por. WAPL, Wojewódzka Rada Narodowa w Lublinie, sygn. 39.

<sup>8</sup> „Głos Ludu” (podtytuł: „Tygodnik Wojewódzkiej Rady Narodowej”) — pismo konspiracyjnej WRN w Lublinie. Wychodziło od 15 VII 1944 r. Powielone. Format: 31 × 22. Wydawane było w Rzeczycy, pow. Kraśnik. Redaktorami byli Dorota i Władysław Kuszykowie. Autorami wielu artykułów byli między innymi Aleksander Szymański („Ali”) i Wacława Marek („Poła”).

<sup>9</sup> Siedziba WRN została przeniesiona (przed 1 VIII 1944) na ulicę Spokojną 4 (obecnie 22 Lipca).

i drugi. Po chwili zjawił się młody chłopak. Pytał nie otwierając bramy: — Kto? Do kogo? W jakiej sprawie? — Do zarządu elektrowni — odpowiedziałem z miejsca. — A kto pan jest? Zaskoczony pierwszymi trudnościami przy przekraczaniu bramy, powiedziałem: — Otwieraj! — A!e chłopak nawet nie drgnął.

— Dziadek nie każe nikogo wpuszczać za bramę i kazał zapytać, kto pan jest?

Nie miałem pojęcia, co mu odpowiedzieć. Chłopak nie otwierał bramy i czekał. Nie wiedząc, jak przełamać opór dozorczy, powiedziałem: — Poproś dziadka, niech przyjdzie... — a po chwili z akcentem — powiedz, że wojewoda lubelski przyjechał. Argument ten najwidoczniej przemówił do wyobraźni chłopca, bo obrócił się na pięcie i szybko odbiegł. Trwało to wszystko dobrą chwilę, zanim usłyszałem zza bramy kroki.

Stary klucznik bardzo mi się przyglądał przez bramę i nadal nie śpieszył się z jej otwarciem. Wyjaśniałem mu od początku, że jestem z Wojewódzkiej Rady Narodowej, która już wyszła z konspiracji i rozpoczęła urzędowanie, i że moim zadaniem jest zapoznać się ze stanem elektrowni, jej możliwościami i że chciałbym mówić z kimś z zarządu. To przekonało go najwidoczniej, bo otworzył drzwi, a wpuszczając mnie, jakby na usprawiedliwienie, mówił: „jest tu trochę węgla, to się tu całe chmury ludzi rwą, ażeby rozgrabić”.

Rozmowa z dyrektorem, inż. Czerwińskim, napełniła mnie otuchą. Niemcy nie zdążyli zniszczyć ani uszkodzić elektrowni. Pozostały też zapasy surowca.

Jedynie sieć ucierpiała od działań wojennych. W jakim stopniu, trudno było obliczyć. Później okazało się, że zniszczone było 200 km linii, a więc 50% stanu sprzed wojny<sup>10</sup>.

W ten sposób miasto prawie bez przeszkód po niewielkich naprawach otrzymało prąd. Stopniowo miały go i inne miejscowości. Dnia 3 sierpnia zaświeciły się lampy na linii Kraśnik—Niedrzwica, następnie Lubartów, w dalszej kolejności Głusk, Rudnik, Zemborzyce, Strzeszkowice, Babin, Bełżyce itd. 19 sierpnia prąd popłynął do Chełma i szeregu innych miejscowości, osad i miasteczek. Jedynie linia Zamość—Izbica—Krasnystaw pozostawała jeszcze przez pewien czas bez prądu. Uszkodzenia były poważniejsze, brakowało słupów i kabla.

W dziele elektryfikacji pomogła też bardzo elektrownia zamojska. Wprowadzić pracował tu tylko jeden mniejszy turbozespół, gdyż większy Niemcy wywieźli ze sobą, niemniej jednak było to poważne uzupełnienie.

Rozstając się z dyr. Czerwińskim, prosiłem go o bezzwłoczną mobilizację załogi do pracy, a kiedy dowiedziałem się jeszcze, że wodociągi pozostały również w stanie nietkniętym, nalegałem, aby w ciągu najbliższego czasu były one podłączone do sieci i mogły pracować.

W ten sposób dwa najważniejsze elementy — światło i woda, bez których nie można sobie wyobrazić odbudowy normalnego życia w mieście, prawie od samego początku zaczęły działać i stały się punktem wyjścia do dalszej organizacji życia społecznego i gospodarczego<sup>11</sup>. W tym dziele bardzo pomogli pracownicy elektrowni lubelskiej — Kucharski i inni, którzy później stanowili dzielną kadrę wyrobionych działaczy związkowych<sup>12</sup>.

<sup>10</sup> Materiały PKWN z okresu późniejszego podają że zniszczenia w sieci docho-  
dziły nawet do 60% i więcej.

<sup>11</sup> Elektrownia lubelska była jedyną na terenach wyzwolonych w 1944 r., która nie została zniszczona. Inne, łącznie z dużą elektrownią w Stalowej Woli, w większym czy mniejszym stopniu były zdewastowane. Por. Archiwum Akt Nowych (AAN), Akta Prezydium PWRN, Sprawozdanie z działalności Resortu Gospodarki Narodowej i Finansów za okres 1944 r.; „Rzeczpospolita” nr 4, 6 VIII 1944.

<sup>12</sup> Komitet Fabryczny w elektrowni powstał w dniu 3 sierpnia, a pierwszym jego przewodniczącym został Ignacy Szymański — członek PPR.

W następnej kolejności odwiedziłem fabryki metalowe „Plon” Wolskiego, „Karwinę-Trzyniec” Bońkowskiego i Fabrykę Wag.

W „Plonie”, jak poinformował mnie dyrektor, Stefan Anulewicz, Niemcy w ostatnich czasach wywieźli 300 ton żelaza, 300 ton surówki i 15 maszyn. Żelaza pozostało jeszcze wiele, ale surówki najwyższej na dwa miesiące produkcji. Maszyny, mimo poważnych braków, można było skompletować. Fabryka mogła wtedy rozpocząć produkcję sprzętu i maszyn rolniczych. „Plon” i Lubelskie Zakłady Mechaniczne po doprowadzeniu ich do odpowiedniego stanu mogłyby zaopatrywać tereny wyzwolone w najpotrzebniejszy sprzęt rolniczy, a to już bardzo dużo<sup>13</sup>.

Podobnie rzecz się miała w dużej fabryce gwoździ „Karwina-Trzyniec”. Mimo że Niemcy wywieźli wiele maszyn i surowców, fabryka była w stanie rozpocząć produkcję gwoździ potrzebnych zarówno gospodarce, jak i wojsku.

Po przeglądzie fabryk metalowych pojechałem na dzielnicę Kalinowszczyzna. Był tam skoncentrowany przemysł garbarski. Bez większych perypetii dostałem się na dziedziniec Garbarni „Brikmanna”. Była to stosunkowo duża garbarnia o względnie nowoczesnym wyposażeniu technicznym<sup>14</sup>. Nie ucierpiała ona od działań wojennych, Niemcy też niewiele poczynili szkód. Na dziedzińcu fabrycznym spotkałem majstrów tej garbarni, Ignacego Kasperskiego i Stanisława Sawickiego. Szybko się z nimi dogadałem, obiecali, że po porozumieniu się z załogą rozpoczną pracę. Poprosiłem ich, aby fachowym okiem zobaczyli, co dzieje się w innych garbarniach, i aby dali mi znać następnego dnia z rana. Zadanie to wypełnili pierwszorzędnie.

Z garbarni udałem się najbliższą drogą do rzeźni miejskiej. Spotkałem tam dyrektora Kurczaba i wraz z nim obejrzałem zakład. Wielki kombinat zbudowany przed wojną i obliczony na produkcję eksportową był w stanie półczynnym. Miejscowa ludność też go nie oszczędziła. Najwięcej ucierpiała podstawowe działy — chłodnia i laboratoria. Niemcy wywieźli ze sobą wiele urządzeń chłodniczych. Ze wspaniałe wyposażonego w precyzyjne mikroskopy laboratorium bakteriologicznego została tylko tabliczka na drzwiach wejściowych.

— Czy rzeźnia może rozpocząć pracę? — zapytałem.

— Owszem — odpowiedział dyr. Kurczab — może prowadzić w prymitywnych warunkach ubój, bez możliwości wyrobu konserw.

<sup>13</sup> W dniu 24 lipca, w wyniku walk o wyzwolenie miasta w fabryce „Plon” wybuchł pożar, który jednak został opanowany dzięki obywatelskiej postawie jej pracowników. 25 lipca 30 robotników przystąpiło do sprzątanía gruzów i oczyszczania terenu fabryki. Por. *Z fabryki „Plon” w Lublinie*. „Trybuna Wolności” nr 66, 6 XI 1944, s. 15; „Sztandar Ludu” nr 41, 16 i 17 II 1962, s.3. Komitet Fabryczny został tam wybrany 15 sierpnia, blisko dwa tygodnie po wznowieniu produkcji. Fabryka nastawiona była w pierwszym okresie na produkcję sprzętu dla wojska, między innymi, produkowano tam okucia do mostów na Wiśle, które budowano w okresie rozpoczęcia zimowej ofensywy w styczniu 1945 r. („Trybuna Wolności” nr 62 z 26 IX 1944, s. 3).

<sup>14</sup> Garbarnia Brikmanna stanowiła zespół kilku zakładów, m. in. należały do niej: garbarnie Silbersteina, Zorkrauta, Kośminek i fabryka pasów. Wszystkie te zakłady rozpoczęły produkcję już w lipcu 1944 r., tam też powstały pierwsze w przemyśle lubelskim komitety fabryczne. Dla lepszej organizacji pracy podjęły one uchwałę o połączeniu wszystkich jednostek produkcyjnych w jedno przedsiębiorstwo, tworząc pierwsze zjednoczenie w kraju pod nazwą „Centrala Garbarni w Lublinie” (AAN. Akta Prezydium PKWN, Sprawozdanie Resortu Gospodarki Narodowej i Finansów za czas do dnia 15 VIII 1944 r.; *Z kroniki lubelskiej*. „Rzeczpospolita” nr 4 z 6 VIII 1944, s. 4). Garbarnie lubelskie również nastawione były w tym okresie na produkcję dla wojska. Produkowano tam m. in.: pasy wojskowe, kabury, kombinezony dla lotników. Obok tego bardzo istotnym elementem produkcji były pasy techniczne (transmisyjne) dla innych zakładów i fabryk.

W dalszej wędrówce zatrzymałem się w fabryce surogatów kawy „Francka”. Tak jak w rzeźni i tu niszcząca ręka okupanta dokonała spustoszenia. Niemcy wywieźli ze sobą maszyny, a wiele urządzeń po prostu zniszczyli na miejscu.

Wiele dobrego dla fabryki w ostatnich dniach wojny zrobił jej pracownik Stefan Balicki. Z narażeniem własnego życia, gdy Niemcy rabowali fabrykę, ukrył on co cenniejsze narzędzia i mniejsze maszyny. Teraz wydobywano je ze schowków i montowano na poprzednich stanowiskach. Fabryka posiadała spore zapasy węgla i surowców gotowych do produkcji. Tacy ludzie, jak młody absolwent Szkoły Głównej Handlowej Maurycy Jerzy Pietrzyk, Stanisław Wójcik, Franciszek Staszewski, czołowa kadra tej fabryki, mimo wielkich trudności, myśleli już o jej uruchomieniu i byli pełni wiary, że już wkrótce im się to uda.

Po drodze zajechałem do wielkich hal Monopoli Spirytusowego. Budynki te położone były już za miastem na Wrotkowie. Zatrzymałem się tam chwilę. I tu spotkałem ludzi przy pracy. Po wielkiej hali rozlewni krzątali się inż. Tomasz Wrzos, Cordé, późniejszy dyrektor tego zakładu, i Jeszkie w niedalekiej przyszłości delegat Komitetu Fabrycznego. Krzątało się też sporo robotników. Przenosili z miejsca na miejsce stoły, pasowali jakieś urządzenia. Coś remontowali. Zakład ten, podobnie jak rzeźnia, należał do nowocześnie urządzonych przedsiębiorstw, wyposażony był w cenne precyzyjne przyrządy. Niestety, 50% tych urządzeń wywieźli Niemcy, a w wielkiej hali świeciły tylko pustką miejsca, gdzie były one wmontowane. Moja rozmowa z inż. Wrzosem utwierdziła mnie w przekonaniu, że wszystko robi się tu z planem i dużą znajomością rzeczy. Precyzyjne aparaty wywiezione przez Niemców zastępowano prymitywnymi, by tylko jak najszybciej rozpocząć produkcję.

Było już po południu, kiedy odjeżdżałem z wytwórni. Przez ulicę Wrotkowską wjechałem z powrotem do miasta od strony południowej. W planie miałem jeszcze obejrzenie Lubelskiej Fabryki Obuwia, jednej z większych fabryk tego typu na terenach wyzwolonych. Jej przydatność nie ulegała żadnej wątpliwości. Ponieważ garbarnie posiadały sporo surowca, który musiał być wkrótce wyrobiony, uważałem za konieczne i tam wstąpić. Zostały tylko budynki, ale wnętrze było puste. W fabryce tej pracowała liczna kadra starych działaczy robotniczych. Niektórych znałem jeszcze sprzed wojny. Zacząłem dopytywać się o nazwiska ludzi. Otrzymałem ich adresy. Z nimi chciałem się naradzić, co dalej<sup>15</sup>.

Nie wdając się w dłuższe rozmowy opuściłem fabrykę i udałem się na ulicę 1 Maja najpierw na dworzec kolejowy, a następnie do wielkich hal warsztatowych. Na kolei znałem kilku miejscowych działaczy pepesowskich jeszcze sprzed wojny: Wacława Przedmojskiego, Henryka Baranowskiego i innych. Postanowiłem ich odszukać.

Wszystkie działy kolei obstawione przez Armię Czerwoną, wrzała ogromna praca przy naprawie torów. Przedmojski i Baranowski byli znani wśród kolejarzy lubelskich, toteż długo nie trwało, kiedy się z nimi spotkałem. Serdecznie przywitaliśmy się, jak starzy znajomi. Opowiedzieli mi trochę o sobie, a następnie objaśnili co dzieje się w kolejnictwie.

<sup>15</sup> Część fabryki obuwia (później Fabryka Obuwia im. M. Buczka) została spalona w dniu 24 lipca, wiele maszyn i narzędzi rozkradły różnego rodzaju elementy w chwili pożaru. Mimo tych trudności już w kilka dni później odbyło się pierwsze zebranie robotników, na którym ustalono plan mając na uwadze rozpoczęcie produkcji. Dzięki temu fabryka już w krótkim czasie podjęła produkcję i we wrześniu produkowała do 2500 par obuwia tygodniowo dla potrzeb wojska. Por. AAN. Akta Prezydium PKWN, Sprawozdanie Kierownika Resortu Gospodarki Narodowej i Finansów za czas do 25 X 1944 r.



Dowiedziałem się od nich, że most na Bystrzycy zerwany, że stosunkowo najmniej uszkodzona jest linia kolejowa Lublin—Rozwadów—Przeworsk. Zaś linia Dorohusk—Rejowiec jest całkowicie zniszczona. O innych odcinkach jeszcze nie wiedz, a wiadomości nadchodzą powoli i często są sprzeczne ze sobą. Powiedzieli natomiast z uznaniem, że w ślad za wojskiem tłumy ludzi bez żadnych nakazów, z dobrej woli wybiegają na tory i pomagają usuwać zniszczenia. Przy takim zapale i ofiarności koleje będą w niedługim czasie uruchomione, przynajmniej na tych odcinkach, gdzie mosty nie są zniszczone<sup>16</sup>. Zaprosiłem ich do rady wojewódzkiej, aby tam bez przeszkód omówić, co robić i od czego zacząć.

Po drodze wstąpiłem jeszcze do cukrowni i Fabryki Syropu „Lubań-Wronki”. Cukrownia lubelska należała do jednej z większych fabryk na terenach wyzwolonych<sup>17</sup>. Wszystko pozostało w niej na miejscu, uchroniła się prawie nietknięta. Ruch tu był niewielki, martwy sezon. Spotkałem przedwojennego działacza komunistycznego, Bolesława Tryka, a następnie zapoznałem się z Różańskim, późniejszym dyrektorem cukrowni, inż. Kujawiakiem, późniejszym sekretarzem Komitetu Fabrycznego i Kosackim, późniejszym przewodniczącym Komitetu Fabrycznego. Wszyscy oni byli w pogotowiu, strzegli majątku, organizowali pracę, o tyle, o ile można to było robić w okresie martwego sezonu.

W zakładzie „Lubań-Wronki” bawiłem niedługo, i tutaj był martwy sezon. Pusto, tylko na podwórzu w przyzmach leżały tysiące beczek w oczekiwaniu na sezon.

Kiedy wróciłem do Rady, był już prawie wieczór. Z mojej lustracji fabryk przywoziłem pełną głowę problemów. Nie miałem nadal żadnej wiadomości, co dzieje się z centralnymi władzami. Nie było też Lubelskiego Komitetu Partyjnego, a część członków Wojewódzkiej Rady Narodowej, jak należało domyślać się z biegu wydarzeń, znajdowała się jeszcze na południu Lubelszczyzny, na terenach uwalnianych od wojsk hitlerowskich. W najlepszym razie mogli przedzierać się w kierunku Lublina.

Wiedziałem też, że część Krajowej Rady Narodowej, ściślej, część jej prezydium w marcu z miejscowości Ostrów Lubelski przedostała się przy pomocy partyzantów przez linię frontu do Związku Radzieckiego i tam przebywała. Został tam również Kazimierz Sidor, przewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej. Należało również spodziewać się ich rychłego powrotu do Lublina. Korczyński miał dostatecznie

---

<sup>16</sup> Zniszczenia w kolejnictwie na terenach „Polski Lubelskiej” były bardzo duże. W zakresie dróg żelaznych sięgały one około 55%, zniszczenia w warsztatach i taborze kolejowym były jeszcze większe, a dewastacja budynków kolejowych sięgała nawet do 95%. Dane te podał na konferencji prasowej w grudniu 1944 roku Kierownik Resortu Komunikacji ppłk. inż. Rabanowski. Por. *Wyteżona praca naszego kolejnictwa*. „Rzeczpospolita” nr 132, 16 XII 1944, s. 3.

<sup>17</sup> Cukrownia „Lublin” była największą i najnowocześniejszą na terenach wyzwolonych. W okresie okupacji dyrektorem cukrowni był volksdeutsch Broniewski, który uciekł wraz z Niemcami w obawie przed odpowiedzialnością za śmierć kilkunastu robotników cukrowni na Majdanku. W chwili wyzwolenia władzę w cukrowni objęła grupa robotników. 29 lipca utworzono tam Komitet Fabryczny, który zabezpieczył cały majątek zakładu i rozpoczął przygotowania do kampanii cukrowniczej. Por. AAN. Akta Prezydium PKWN, Sprawozdanie z działalności Resortu Gospodarki Narodowej i Finansów za okres 1944 roku; „Rzeczpospolita” nr 79, 21 X 1944.

wiele kłopotów z reorganizacją oddziałów patryzanckich i sprawą bezpieczeństwa, aby jeszcze dorzucić mu sprawy cywilne<sup>18</sup>.

Rozmyślając nad tymi problemami, dochodziłem do wniosku, że każda godzina przynosi poważne straty gospodarce i demoralizuje społeczeństwo. Postanowiłem, nie zwlekając, odszukać miejscowy aktyw partyjny i sympatyków, ludzi, którzy z nami współpracowali w walce z okupantem. Znałem takich wielu: Przedmojski, Baranowski, Kasperski, Wesołowski, a przede wszystkim znałem starego działacza robotniczego z okresu międzywojennego Pawła Ryczka. W roku 1936 zetknąłem się z nim w czasie strajku robotników budowlanych i od tej chwili łączyła nas przyjaźń. Znał on dwa pokolenia działaczy lubelskich i cieszył się wielkim autorytetem wśród robotników, sam był robotnikiem budowlanym. Wiedziałem, że przez niego szybko dotrę do ludzi znanych mi i nieznanymi i że z ludzi tych stworzymy oddaną kadrę. Nie zwlekając, sprawdziłem tylko aktualność przekazanego mi z dowództwa wojskowego hasła, gdyż godzina stanu wojennego była za pasem, i odjechałem na ul. 1 Maja. Nie miałem dokładnego numeru domu, ale kiedy wszedłem do pierwszej bramy i powiedziałem kogo szukam, doprowadzono mnie na miejsce. Nazajutrz rano już z „Dziadkiem” (tak go popularnie nazywali robotnicy Lublina) omawiałem sprawy ludzi i organizacji lubelskiego przemysłu. Z radością mogłem stwierdzić, że „Dziadek” mimo swych sześćdziesięciu kilku lat był pełen energii i zapału i cieszył się doskonałym zdrowiem.

Rozmawialiśmy krótko. Po kilku godzinach P. Ryzek wrócił przyprowadzając kilkunastu ludzi. Poznałem wśród nich starych związkowców: Miareczkę, Janczewskiego, Wesołowskiego, Ziółka i młodszych: Dulniaka, Panasa, Pomarańskiego i innych. Na widok tylu ludzi zrobiło mi się weselej. Przedstawiłem im sytuację w zakładach pracy, którą widziałem wczoraj i poprosiłem o pomoc w pracy organizacyjnej. Ustaliliśmy, że tam, gdzie są już zorganizowane grupy (a podałem im te zakłady) sprawa komitetów fabrycznych<sup>19</sup> jest niejako załatwiona. Natomiast tam, gdzie ich jeszcze nie ma trzeba je natychmiast utworzyć z robotników danej załogi. Niech komitety fabryczne przejmują w swoje ręce zakłady pracy, niech porządkują i zabezpieczają majątek, przygotowują je do produkcji. Cała rozmowa nasza trwała pół godziny, po czym pierwsza grupa operacyjna przystąpiła do roboty.

Poczułem się teraz lepiej — nie tak bezradnie, jak dotychczas. Zorganizowana została przecież grupa ludzi zahartowanych w niejednej walce, doświadczonych działaczy robotniczych, a przede wszystkim cieszących się zaufaniem robotników. Miała ona rozruszać zatrzymaną maszynę lubelskiego przemysłu.

Po południu zrobiło się w radzie rojno, przyszło wielu towarzyszy z fabryk, a z nimi nowi ludzie. Widać było, że w zebranych jakby nowy duch wstąpił, żywo rozmawiali między sobą i przerywając jeden drugiemu składali sprawozdania, co widzieli i czego dokonali. Czuli że wypełniają ważne zadania organizatorów nowego życia w mieście, a tym samym nowych stosunków społeczno-politycznych. Znalazła się też grupa szewców z fabryki obuwia, przyprowadził ją Władysław

<sup>18</sup> Grzegorz Korczyński miał wówczas zadanie zorganizowania Milicji Obywatelskiej, on również został pierwszym Komendantem Lubelskiej Obwodowej Komendy Milicji Obywatelskiej.

<sup>19</sup> Sprawę powstania komitetów fabrycznych postawiła PPR już w pierwszym swoim dokumencie programowym z marca 1943 r. („O co walczyliśmy?” Deklaracja Polskiej Partii Robotniczej). Komitety fabryczne w okresie okupacji miały stać się konspiracyjnymi, jednolitifrontowymi organami władzy robotników na terenie fabryk, a z chwilą wyzwolenia miały natychmiast przejąć fabryki i uruchomić produkcję. Należy zaznaczyć, że w okresie okupacji na terenie fabryk lubelskich komitety takie nie powstały, związane to było z rozdrobnieniem przemysłu i stosunkowo małą liczbą zatrudnionych w nich robotników.

Wesołowski. Nie pamiętam już dziś wszystkich nazwisk, ale byli tam Jan Bogowola, późniejszy sekretarz związku, przedwojenny działacz robotniczy, Stawski, majster tej fabryki, Stanisław Ludwicki, późniejszy członek Komitetu Fabrycznego, Kazimierz Polski, Ładoszek, Pepecki i inni (później stanowili oni oddany sprawie aktyw fabryki).

Tak prawie z godziny na godzinę rosły nowe grupy operacyjne mające za zadanie zabezpieczenie przemysłu i uruchomienie produkcji. Dawało mi to świadomość, że chaos pierwszych dni mija bezpowrotnie.

Dzięki tym ludziom objęto nadzorem dwa browary, młyn mechaniczny, fabrykę cukierków „Veritas”, rektyfikację spirytusu, fabrykę skrzyń i opakowań i wiele innych mniejszych zakładów pracy. Zabezpieczono wielkie magazyny „Społem” i Lubelskiej Spółdzielni Spożywców. Ludzie ci włożyli wielką pionierską pracę, uchronili przed grabieżą milionowe majątki, a we wszystkich fabrykach i zakładach pracy przygotowali grunt pod organizację komitetów fabrycznych, które tak doniosłą rolę odegrały w przygotowaniu tych obiektów do produkcji. Do życia wielkiego miasta wnosili oni spokój i porządek.

Nie był to jednak całkowity spokój. Niemalże zamieszania wprowadził do umysłów fakt, że 25 lipca przedstawiciel Delegatury Rządu Londyńskiego, Cholewa w rozprawianej wśród mieszkańców i rozplakatowanej na murach ulotce ogłosił się „legalną” władzą w Lublinie. Ludzie ci mieli dość szerokie powiązania z byłą sanacyjną administracją i z aparatem urzędniczym administracji cywilnej w okresie okupacji. Ujawnienie się „władzy” londyńskiej szeroko propagowały po całym mieście oddziały akowskie<sup>20</sup>.

Kiedy dostałem jedną z takich ulotek do ręki, zrozumiałem, że działacze tzw. „rządu” londyńskiego będą czynić wszystko, aby izolować nas od mieszkańców miasta.

Przekonałem się o tym przy pierwszym zetknięciu się z urzędniczym aparatem magistratu, który zaczął działać zaraz po ukazaniu się ulotki. Niektórzy urzędnicy niedwuznacznie manifestowali swoją sympatię do delegata „rządu” londyńskiego<sup>21</sup>. Przejawiali nawet agresywną postawę wobec mnie, kiedy oświadczyłem, że wydane przed paru dniami rozporządzenie Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej i Dowództwa II Obwodu Armii Ludowej jest w mocy i, że zgodnie z nim, pracownicy byłego niemieckiego zarządu miasta winni normalnie pracować i podporządkować się jego zaleceniom. Uważałem wówczas, że mam pełne prawo tak oświadczyć, nie tylko dlatego, że Wojewódzka Rada Narodowa powstała podczas okupacji i reprezentowała w swoim składzie szersze grupy społeczeństwa Lubelszczyzny, ale również dlatego, że nasze oddziały AL nie trzymały rąk w kieszeni, nie robiły próbných pokazów akcji planu „Burza”, nie bały się szerokiego poruszenia mas, a od maja do lipca 1944 r. w wielkich bitwach, od lasów janowskich poczynając a na lasach parczewskich kończąc, przelewały krew, właśnie o szybsze wyzwolenie Lubelszczyzny i innych terenów.

Kiedy przyszedłem wieczorem do rady, spotkała mnie miła niespodzianka. Cała grupa „południowa” członków Wojewódzkiej Rady Narodowej dotarła do Lublina. Musieli być bardzo znużeni, bo wszyscy spali twardo poukładani na

<sup>20</sup> W dniu 25 VII 1944 r. Delegat Rządu Władysław Cholewa wydał „Obwieszczenie Urzędowe”. Wyjątki tego dokumentu cytuję Wsiewołod Wołczew (*op. cit.*). Delegatura działała w Lublinie do dnia 31 lipca 1944 r., w międzyczasie przedstawiciele WRN i PKWN przeprowadzili szereg rozmów z Delegaturą na temat współpracy, nie dały one jednak żadnych rezultatów wobec sprzeciwu Cholewy i innych.

<sup>21</sup> O pertraktacjach przedstawicieli władzy ludowej z magistratem wspomina Stanisław Szczepański.

podłodze, na krzesłach i fotelach. Nie budziłem nikogo, sam ułożyłem się na skraju dywanu na podłodze. Za to rano przywitaliśmy się serdecznie. W grupie tej byli Marian Czerwiński, Paweł Dąbek, Stanisław Szczepański, Franciszek Krzemień-Ojak, Halina Gadzalanka, Adela Gadzińska, Kazimierz Bulanda i inni.

29 lipca z Chełma do Lublina przybyli członkowie Prezydium Krajowej Rady Narodowej i Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, a wraz z nimi przybył przewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie Kazimierz Sidor.

Ciężar, który dotychczas musieliśmy dźwigać na swoich barkach spadł nam z ramion. Kazimierz Sidor objął przewodnictwo Wojewódzkiej Rady Narodowej. Następnego dnia rozpoczął działalność Komitet Partyjny PPR<sup>22</sup> i bodajże tego lub następnego dnia rozpoczął działalność Centralny Komitet Polskiej Partii Robotniczej.

Po raz pierwszy od kilku dni znalazłem chwilę czasu, aby zastanowić się nad sobą. Doświadczenie ostatniego okresu wskazywało, jak wielkie znaczenie ma praca wśród robotników. W działalności takiej angażowałem się przez kilka lat w Warszawie przed wybuchem wojny. Na emigracji tego typu robota też nie była mi obca. Z tych kilku lat pracy sprzed wojny i w dniach okupacji wyniosłem niemalże doświadczenie, a przede wszystkim szerokie znajomości i stosunki z robotnikami. Dlatego utwierdziłem się w przekonaniu, że najbardziej celowe będzie, kiedy zajmę się organizacją związków zawodowych.

Lubelski ruch związkowy znałem jeszcze sprzed wojny, był on rozbity na szereg drobnych związków i ideologicznych ugrupowań. Klasowy odłam tego ruchu był tępiony przez policję i nigdy nie mógł się rozwinąć na szeroką skalę. Teraz dla ruchu zawodowego otwierały się nieograniczone możliwości rozwoju, a rola związków zawodowych w nowych społeczno-politycznych warunkach w moim przekonaniu nie mogła podlegać żadnej wątpliwości.

Utwardził mnie też w tym mój przyjaciel Ignacy Narbutt („Robb”), który z „południową” grupą przybył do Lublina, a z którym łączyły mnie lata wspólnych walk w ruchu studenckim, z okresu studiów w Warszawie.

Toteż przeprowadziłem rozmowę z „Dziadkiem”. Bez zastrzeżeń poparł on moje plany. Zdecydowaliśmy więc bez zwłoki zwołać aktyw robotniczy. Spośród wielu opustoszałych gmachów wybraliśmy budynek po byłym niemieckim urzędzie Arbeitsamtu przy Krakowskim Przedmieściu 64 i przeznacziliśmy go na siedzibę związków zawodowych. Tam odbyła się konferencja, na której powołano Tymczasowy Sekretariat Rady Związków Zawodowych<sup>23</sup>.

<sup>22</sup> Sekretarzem lubelskiego Komitetu PPR był w tym czasie Władysław Zdunek, członek Wojewódzkiej Rady Narodowej z okresu okupacji.

<sup>23</sup> Siedziba Rady Związków Zawodowych została wkrótce przeniesiona na Krakowskie Przedmieście 29.



## STANISŁAW SZCZEPAŃSKI

Kiedy pierwsze oddziały Armii Radzieckiej wkroczyły do Abramowa<sup>1</sup> zrozumiałem, że najważniejsze zadanie jakie stanęło przede mną to czym prędzej dotrzeć do Lublina. Takie bowiem zadanie otrzymaliśmy na ostatnim posiedzeniu konspiracyjnej lubelskiej Wojewódzkiej Rady Narodowej. Kierunek z jakiego przyszło wyzwolenie dawał prawo sądzić, że Lublin był już wolny. Nie miałem więc czasu na namysły.

Z drugiej strony nie można opuszczać swoich terenów przed zorganizowaniem tam władzy. Był to mój obowiązek nie tylko jako członka WRN, ale również jako komendanta garnizonu AL. Problemu z obsadą nie było. Tuż przed wyzwoleniem garnizon nasz liczył około 300 członków AL. Po zorganizowaniu Gminnej Rady Narodowej w Abramowie dopomogliśmy w ustanowieniu władz w Rudnie i Michowie. Wraz ze mną działało wówczas pięciu moich „chłopców” z garnizonu: Jan Gol („Celestyn”), Bronisław Gwizdek („Jastrząb”), Jan Rojek („Wróbelek”), Wiesław Sztorc („Wigry”) i Jan Janek („Kmicic”). Był również Stanisław Bogusz, który parą koni przez Kurów i Garbów miał nas zawieźć do Lublina.

Po drodze miła niespodzianka. Spotykam niedawnych swoich gości. Znajdowali się tam, wśród dużej grupy partyzantów, Ignacy Loga-Sowiński („Ignac”), Władysław Zdunek, Ignacy Narbutt („Robb”), Marian Czerwiński i wielu innych. Wszyscy spieszą do Lublina. Oni zdobyczym samochodem mają nadzieję jeszcze tego samego dnia tam dotrzeć<sup>2</sup>. Spotykam również pierwszych żołnierzy z armii Berlinga. Młody porucznik I Armii (Edmund Pszczółkowski?) wypytuje mnie jak wygląda sprawa obejmowania władzy. Otrzymuje szczegółowe informacje. Rozmowa nie trwała długo, obaj mieliśmy przecież swoje zadania do wykonania.

Droga do Lublina nie była łatwa. Odgłosy walki wskazywały na to, że front jeszcze daleko nie odszedł. Należało się również liczyć z możliwością napotkania drobnych grup Niemców, którzy w panicznym odwrocie pogubili swoje oddziały i stali się chwilową zmorą tych terenów.

Na drodze pełno porzuconego sprzętu, spalonych aut i końskich trupów. Szczególnie odcinek w okolicach Kurowa sprawiał wrażenie cmentarzyska. Mimo tego ruch w obie strony był dość znaczny.

Koło Jastkowa przeżywamy nalot. Niemiecki samolot zrzucił kilka bomb i odleciał w kierunku Wisły. Czyżby zamach na nas? Sprawa wyjaśnia się jednak szybko. To przykryta plandeką młockarnia w pobliskim majątku stała się obiektem ataku. Widocznie z góry wyglądała na bojowe stanowisko czołgu. Kolejny nalot czekał nas jeszcze też pod Lublinem.

To wszystko opóźniało nasz przyjazd, niemniej gdzieś koło południa dotarliśmy do miasta. Skierowaliśmy się w stronę śródmieścia, tam będzie można zorientować

<sup>1</sup> Abramów, pow. Lubartów, został wyzwolony w dniu 26 lipca 1944 roku.

<sup>2</sup> „Południowa” grupa partyzantów dotarła do Lublina istotnie 27 VII 1944.

się w sytuacji i odnaleźć swoich. Już wiemy, że w Lublinie działa nasza władza. Wiemy nawet, że działają dwie władze. Nie trudno było się o tym dowiedzieć, skoro obie rozlepiły na murach miasta swoje zarządzenia.

Na Krakowskim Przedmieściu spotykam kilku towarzyszy z konspiracji. Z radością informują mnie, że działa już Wojewódzka Rada Narodowa i że na razie mieści się w budynku byłego niemieckiego starostwa grodzkiego przy Krakowskim Przedmieściu 62. Chcę więcej szczegółów, chcę wiedzieć jak dotarli do Lublina, gdzie byli w chwili wyzwolenia. Ale oni ciągną mnie już na górę. Właśnie odbywa się narada przybyłych już do Lublina członków WRN.

Wszyscy nie zdołali jeszcze dotrzeć, spotykam natomiast Władysława Kuszyka, Annę Gadzalanę, Sławę Czarnotównę, Pawła Dąbka, jest również Marian Czerwiński i Władysław Zdunek, których wczoraj żegnałem na drodze.

Zebrań odbywa się w obecności przedstawicieli I Armii Wojska Polskiego gen. Aleksandra Zawadzkiego i Zygmunta Berlinga, jest również przedstawiciel Krajowej Rady Narodowej — Szymon Żoźna<sup>3</sup>.

Aleksander Zawadzki mówił o najpilniejszych potrzebach władzy ludowej, o szybkim zabezpieczeniu fabryk i magazynów, o przyciągnięciu ludzi do pracy, o organizowaniu władzy na terenie województwa.

Przy końcu tego pierwszego posiedzenia rady nastąpił wstępny przydział funkcji. Z początku miałem objąć handel, ale widocznie mój argument, że kupcem nigdy nie byłem, przekonał wszystkich i ostatecznie miałem sprawować funkcję zastępcy przewodniczącego WRN. Łączyło się to nie tylko z obowiązkiem znalezienia nowego lokalu rady, ale przede wszystkim z szeregiem spraw administracyjnych, aprowizacyjnych i wielu, wielu innych<sup>4</sup>.

Wziąłem więc swoich „chłopców” i wyruszyliśmy na poszukiwanie. Znajac trochę Lublin sprzed wojny, spodziewałem się znaleźć coś na ulicy Niecałej. Tam bodajże pod numerem 12 mieścił się kiedyś Urząd Wojewódzki.

Nic z tego jednak nie wyszło. Niemcy przebudowali wnętrza, pełno było jakichś aparatów, kabli i przewodów, tak, że w tym stanie budynek nie nadawał się na siedzibę rady, a być może i na siedzibę władz centralnych, o których wiedzieliśmy, że lada dzień mają przybyć do Lublina.

Trzeba było szukać dalej. Przyszło mi jednak na myśl, że przecież w Lublinie mieścił się w okresie okupacji Urząd Gubernatorski i, jeżeli Niemcy nie zdołali go zniszczyć, na pewno będzie w sam raz na nasze potrzeby.

O odnalezienie go nie było trudno. Już pierwsi napotkani ludzie wskazali nam drogę którą tam dotrzeć. Wkrótce też znaleźliśmy się na ulicy Spokojnej. Po drodze mogliśmy przekonać się, że pełno jeszcze było śladów walk o Lublin. Mimo, że minęło już kilka dni od wyzwolenia, ulice robiły wrażenie jakby walki trwały tu jeszcze wczoraj.

<sup>3</sup> Jan Magnuszewicz ps. Szymon Żoźna, jako przedstawiciel Krajowej Rady Narodowej, miał za zadanie dopomóc przy zorganizowaniu władzy ludowej w Lublinie. Przybył do miasta 27 lub 28 lipca i podczas nieobecności Kazimierza Sidora pełnił funkcję tymczasowego przewodniczącego WRN. Świadczy o tym podpis na „Obwieszczeniu” WRN z dnia 29 VII 1944 r.: „Tymczasowy Przewodniczący WRN w Lublinie (—) Szymon Żoźna”. Oryginał tego dokumentu jest w posiadaniu Muzeum Państwowego w Lublinie.

<sup>4</sup> Protokół z tego posiedzenia nie zachował się, ale najprawdopodobniej odbyło się ono w dniu 28 lipca. Ostateczne ukonstytuowanie WRN nastąpiło dopiero po przyjeździe Kazimierza Sidora, w dniu 30 VII 1944 roku. Por. Krystyna Kersten *Niektóre problemy kształtowania się władzy ludowej w okresie działalności PKWN (lipiec—grudzień 1944)*. „Kwartalnik Historyczny” R. LXXI nr 2, s. 340.

Na Spokojnej — nomen omen — nazwa ulicy odpowiadała sytuacji. Było cicho i stosunkowo pusto. Wokół dużego gmachu nie było nikogo, robił on wrażenie zamkniętego na cztery spusty, o ile niezaminowanego. Tu i ówdzie poprzewracane zasieki z drutu kolczastego, które jeszcze kilka dni temu wzbraniały wejścia na teren niemieckiej dzielnicy miasta.

W obawie przed niebezpieczeństwem dokładnie spenetrowaliśmy otoczenie. I to nic nam nie wyjaśniło. Rozstawiłem więc po dwóch swoich „chłopców” przy bocznych wejściach, a sam z Jankiem Golem zdecydowałem „szturm” od frontu. Delikatnie otworzyliśmy drzwi. W hallu i na korytarzach było pusto i wszystko robiło wrażenie ładu i porządku. Tym bardziej zdawało nam się to podejrzane. Toteż, ostrożnie, ubezpieczając się wzajemnie, rozpoczęliśmy przegląd pokoju za pokojem. W ten sposób obeszlśmy je wszystkie na parterze. Całe lewe skrzydło zarezerwowaliśmy dla rady i, żeby nie było nieporozumień, na drzwiach pisałem dla kogo pokój zajęty.

Kiedy kończyliśmy już pracę, spotkaliśmy pierwszego mieszkańca budynku. Zaciekawiony zapytałem kim jest i co tu robi. Okazało się, że był jednym z kilku aktualnych mieszkańców tego budynku, którzy zatrudnieni byli tam w okresie okupacji, a on sam był intendentem gubernatora i pozostał na miejscu. Pochodził z terenów włączonych do Rzeszy i, jak twierdził, zawsze czuł się Polakiem.

Od niego mogłem się dowiedzieć, w jakim stanie znajdują się pomieszczenia na piętrach. Dowiedziałem się również wielu innych szczegółów dotyczących gmachu, a zwłaszcza o jego historii ostatnich dni przed wyzwoleniem. Cały gmach pozostał nietknięty, Niemcy nie zdołali nawet zniszczyć wspaniale wyposażonego gabinetu gubernatora<sup>5</sup>, a jedyny akt sabotażu polegał na wymontowaniu membran ze słuchawek telefonicznych.

W ten sposób mogliśmy rozpocząć „normalne” urzędowanie<sup>6</sup>. Problemów było co niemiara. Za dzień czy dwa do Lublina przybył Kazimierz Sidor i pierwsi przedstawiciele PKWN<sup>7</sup>. Dotarła również reszta członków WRN. Wszystko to jednak mało w stosunku do potrzeb. Ludzi potrzeba było coraz więcej, w miarę jak zaczynały działać poszczególne wydziały WRN i instytucje władzy ludowej.

W związku z tym, że i ta sprawa należała do mojego „resortu”, poleciłem wydrukować „Wezwanie” o zgłaszanie się do pracy. Ukazało się ono 30 lipca i jak pamiętam odniosło poważny skutek<sup>8</sup>.

Narastające z dnia na dzień problemy czekały szybkiego rozwiązania. Po raz któryś z kolei przydali się moi „chłopcy” z Abramowa. Części z nich postawiłem zadanie znalezienia środków lokomocji. Pozostałym poleciłem znaleźć jakiegos

<sup>5</sup> W gabinecie tym urzędował później przewodniczący Krajowej Rady Narodowej — Bolesław Bierut.

<sup>6</sup> Wydaje się jednak, że tylko część wydziałów WRN przeniosła się na ulicę Spokojną (obecnie 22 Lipca). Część pozostała w dalszym ciągu na Krakowskim Przedmieściu 62.

<sup>7</sup> Pierwsi przedstawiciele PKWN przybyli do Lublina 29 VII, byli to: Stanisław Kotek-Agroszewski, Bolesław Drobner, Hilary Minc i Jan Karol Wende. (AAN. PKWN, sygn. 9, s. 1). Datę tę i skład (ale bez J. K. Wende) podaje B. Drobner w „Oświadczeniu o działalności Józefa Szydłowskiego”. Pismo to znajduje się w Referacie do spraw działaczy Ruchu Robotniczego KW PZPR Lublin, teczka nr 788/59.

<sup>8</sup> Oryginał tego dokumentu znajduje się w Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Lublinie. Treść „Wezwania” była następująca: „Wojewódzka Rada Narodowa wzywa wszystkich urzędników pracujących na terenie m. Lublina do zgłaszania się do pracy w urzędach państwowych i użyteczności publicznej w środę dnia 2 VIII 1944 r. o godz. 8.00”.



restauratora, który zgodziłby się zorganizować nam stołówkę. Nie należało to do rzeczy łatwych, nie mieliśmy bowiem ani sprzętu kuchennego, ani sił fachowych, a ludzi przybywało coraz więcej.

„Chłopcy” wywiązali się ze swych zadań znakomicie. Wkrótce mieliśmy dwa samochody i jeden motor z przyczepą.

Motor ten — jak pamiętam — zdobyliśmy na Niemcach chyba jeszcze w 1943 r. i kazałem go wówczas „zamelinować” w Sosnowce w powiecie Lubartów. Teraz miał się okazać cennym uzupełnieniem „taboru” komunikacyjnego rady. Jeden z wozów był własnością prywatną, a jego właściciel Adam Rudowicz zgodził się jeździć trzy dni w tygodniu dla nas, a trzy dla siebie. Nie mieliśmy przecież czym płacić, a drożdże jako środek płatniczy weszły w użycie dopiero później.

Sprawa stołówki również została załatwiona. Zgodził się ją zorganizować restaurator lubelski Wojciech Gustaw, który wraz ze swą żoną i córką prowadził ją chyba przez pierwszy miesiąc.

Osobnym problemem była sprawa normalizacji życia w mieście. Łączyło się z tym uprzątnięcie z ulic najbardziej widocznych śladów walki o wyzwolenie miasta: spalonych aut, porozbijanych wozów i końskich trupów. Mimo, że od tego czasu upłynęło dobrych kilka dni, nikt się jakoś za to nie brał.

Drugą sprawą było zorganizowanie władzy w mieście i utworzenie Miejskiej Rady Narodowej. Wszak w tym czasie w Trybunale urzędował magistrat z ramienia Delegatury, niemniej jednak skutków jego urzędowania nie było widać na mieście. Tę sprawę również należało rozwiązać. Po krótkiej naradzie z Ignacym Logą-Sowińskim i Władysławem Zdunkiem udałem się na pertraktacje do Trybunału.

Po przybyciu na miejsce poprosiłem o spotkanie z „prezydentem”. Sekretarka odpowiedziała mi, że „pan prezydent jest zajęty i, że właśnie odbywa konferencję z naczelnikami wydziałów”. Odpowiedziałem, że to dobrze się składa, bo ja właśnie jako przedstawiciel WRN przyszedłem w sprawie miasta. Po chwili wyczekiwania zjawił się „pan prezydent”. Na moje propozycje współpracy i uwagi o sytuacji na terenie miasta zareplikował dość nieoczekiwanie, że on jest mianowany przez prawowity rząd londyński, że uwag może wysłuchiwać tylko od jego przedstawicieli. Dodał również, że ustąpi, ale tylko w wypadku użycia siły<sup>9</sup>.

Siła jednak nie była potrzebna, bo po pięciu minutach poinformował mnie, że ustępuje. W magistracie rozpoczął urzędowanie Tadeusz Kadura<sup>10</sup> mianowany prezydentem miasta z ramienia Wojewódzkiej Rady Narodowej.

W miarę jak upływały dni, przybywało coraz więcej zadań. Najważniejszym, którym zajęli się w początkach sierpnia wszyscy członkowie rady, było zadanie zorganizowania władzy ludowej w terenie.

<sup>9</sup> Pertraktacje, o których wspomina autor prowadzone były prawdopodobnie z wiceprezydentem Marianem Chojnowskim. Mianowany przez Delegaturę prezydent — Roman Ślaski nie był wówczas obecny w Lublinie.

<sup>10</sup> T. Kadura był członkiem PPS.